

# Piotr Zwoliński

---

## Górskie pasje biskupa Józefa Rozwadowskiego

---

Łódzkie Studia Teologiczne 10, 41-44

---

2001

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

KS. PIOTR ZWOLIŃSKI  
*Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego*  
*Warszawa–Łódź*

## GÓRSKIE PASJE BISKUPA JÓZEFA ROZWADOWSKIEGO

Wśród osób redagujących, piszących i związanych z „Pamiętnikiem Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego” wciąż żywa jest pamięć o biskupie Józefie Rozwadowskim i jego towarzyszu tatrzańskich wspinaczek i wędrówek narciarskich – ks. prof. Ignacym Różyckim. Wynika to stąd, że ci księża związani byli z krakowskim środowiskiem taternickim i na trwałe wpisali się w dzieje tamtejszego Klubu Wysokogórskiego. Obaj należeli do starszej generacji taterników, którzy swoje zainteresowania wspinaczkowe i górskie realizowali już w latach dwudziestych ubiegłego wieku. Obaj byli członkami zwyczajnymi Klubu Wysokogórskiego w Krakowie. Darzyli dużą sympatią bractwo klubowe i utrzymywali z nim kontakt w czasach, gdy przeżywało perypetie związane z ograniczeniem działalności w Tatrach i zmianami organizacyjnymi po likwidacji PTT i Klubu Wysokogórskiego oraz włączeniu taternictwa w ramy nowej organizacji turystycznej PTTK.

Szczególną pomocą ks. Rozwadowski służył redakcji „Gór Wysokich”, czasopisma Krakowskiej Sekcji Alpinizmu PTTK, w tłumaczeniu tekstów z zagranicznej literatury, potrzebnych przy opracowaniu informacji o alpinizmie. W latach 1956–1960 pomocą, radą i tłumaczeniami wspomagał braci Antoniego i Jerzego Wali przy redagowaniu „Taternika”, periodyku Klubu Wysokogórskiego. Jak wspominają starsi krakowscy taternicy, związani z redakcją „Pamiętnika PTT”, był pierwszym, który na kolorowych przezroczach pokazywał Tatry, Beskidy oraz Alpy w letniej i zimowej aurze.

Nasz Ojciec, jak zwaliśmy biskupa Józefa Rozwadowskiego, pozostanie w mojej pamięci i moich najbliższych jako człowiek wielkiego serca, pokory i modlitwy. Był niezwykle wrażliwy na wszelkie przejawy krzywdy. Pozostanie mi jego ukochanie przyrody – potrafił głęboko modlić się na łonie natury, kontemplując jej uroki. Zwykle mawiał: *Dziękuję Ci, Panie Boże, że mogę tu być, jakie to wszystko pikne.*

Obcując z naturą, miał dar postrzegania najmniejszych nawet jej uroków, umiał je wyeksponować i po mistrzowsku utrwalić aparatem fotograficznym.

Trudnej sztuki fotografowania przyrody uczył się od samego Włodzimierza Puchalskiego.

Góry zafascynowały Go, gdy był jeszcze chłopcem i tak już pozostało. O swoim taternictwie opowiadał niewiele. Wspominał i opowiadał ze swoistą swadą przeżyte zdarzenia wtedy, kiedy spotkał się z ludźmi uprawiającymi jak on alpinizm.

Kiedyś, w czasie rozmowy o górach i o osobach, które tworzyły „klimat taternictwa”, a co za tym idzie jego historię, przypomniał zdarzenie z zimy 1950 r., jak to wówczas młody taternik, który miał za sobą już wiele letnich wspinaczek, pożyczył od niego raki, dzięki którym przeszedł swoją pierwszą drogę zimową. Był nim Andrzej Wilczkowski – późniejszy nauczyciel akademicki, pisarz, publicysta, instruktor i wychowawca wielu pokoleń adeptów alpinizmu, w tym piszącego te słowa. Biskup Senior wspominał tekst jego autorstwa, który znalazł się w biuletynie jubileuszowym Łódzkiego Klubu Wysokogórskiego:

„W szczególnie ciężkich chwilach życia, kiedy zamykam oczy, widzę góry. Twarde, wypiętrzone skały, łagodne linie dolin, półcienie i półmroki zapisane są w pamięci każdego ze zmysłów. Mam w uszach szum spadającej wody, rozpięty nad górami w ciszy letniego popołudnia, słyszę łoskot spadającego kamienia i czuję woń jego uderzenia o ścianę, pachną mi trawy dolin, czuję w palcach szorstkość skały drażniącą opuszki. W ustach mam smak kropel deszczu i ziaren rozpedzonego śniegu. To wszystko zostało w moim życiu na zawsze, dociera do świadomości falami, aby potem w zabieganym powszednim życiu uciec z powrotem w podświadomość.

Z tego niedoskonałego zapewne opisu doznań wynika jedno: rola, jaką grają góry w życiu niektórych, specjalnie na nie otwartych ludzi. To nawet dobrze, że nie wszyscy mają zdolność zarażenia się górami. To jednak dobrze, że tych zarażonych jest cała gromada i można je wspólnie z nimi przeżywać. W ten sposób bowiem smak nawet banalnego opowiadania górskiego wzmacnia od razu bukiet własnych przeżyć, wywołuje rezonans, a spotkanie ludzi gór staje się pewnego rodzaju nabożeństwem, gdzie czasem nie trzeba nawet słów, wystarczy wiedzieć, że siedzący obok człowiek ma w opuszkach palców zakodowaną pamięć skały.

Jest coś zastanawiającego w tym zachwycie ludzi nad wypiętrzonymi ku niebu bryłami kamienia. Ani to nakarmi, ani ogrzeje, żadnego utylitarnego znaczenia dla człowieka nie posiada. Pociąg ku górom leży w kategoriach czysto emocjonalnych i jest jednym z koronnych argumentów dla tezy, że to nie rozum, tylko uczucie rządzi gatunkiem, który nie wie, czemu nazwał siebie *sapiens*<sup>1</sup>.

Biskup Rozwadowski powiedział wtedy: *Wiesz, ja tak właśnie odbieram góry, wspinanie, mógłbym podpisać się pod tym tekstem. Zapewne był jednym z tych, którzy tak właśnie odbierali swoją pasję – a może tylko wielką radość obcowania z górami.*

---

<sup>1</sup> Tekst zamieszczony w: A. Wilczkowski, *Klub Wysokogórski w Łodzi*, Łódź 1983.

W rozmowach Ojciec często wspominał członków znacznych rodzin góralskich – Wawrytków, Krzeptowskich, swoich partnerów, z których pierwszym był jego młodszy brat Kazimierz. Te pierwsze wspinaczki pokonał latem 1926 r. Był wtedy gimnazjalistą. Weszli na Mnicha i Żabi Szczyt Niżni, prawdopodobnie drogą Świerza. Z dumą zaznaczał, że szli bez liny. Przyuczenie do „fachu” zdobywał u samego Jakuba Wawrytki, legendarnego przewodnika, ratownika i późniejszego kuriera tatrzańskiego w okresie okupacji. Wspominał też ks. prof. Józefa Różyckiego, długoletniego i najwyżej przez siebie cenionego towarzysza letnich wspinaczek i zimowych „wyrup narciarskich”. Tę barwną postać przyjaciela biskupa Rozwadowskiego na łamach „Pamiętnika” wspomina ks. Józef Sanak:

„Mówi się czasem o pewnych ludziach, że są podobni do owocu włoskiego orzecha; na wierzchu twarda, pomarszczona skorupa, a wewnątrz miękkie i bogate w wartości odżywcze i smakowite ziarno. Tak można by określić osobowość Ks. Profesora Różyckiego. Z pierwszego wejrzenia był to twardy i surowy człowiek, wymagający zarówno od siebie, jak i od swoich podopiecznych. Zнали go kapłani Archidiecezji Krakowskiej przeważnie z czasów seminaryjnych, pamiętali jego precyzję naukową, a szczególnie jego wymagania, które nieraz budziły postrach, zwłaszcza przed egzaminem. Wymagający, milczący i zamknięty w sobie, robił wrażenie człowieka surowego i niedostępnego.

Trzeba było jednak obcować z nim blisko, by odkrywać w tym wspaniałym człowieku coraz to nowe bogactwa ogromnej wiedzy z różnych dziedzin oraz zalety charakteru i bardzo życzliwego serca [...]. Zdobywaliśmy mozolnie Niżne Rysy zachodnią ścianą, 7 godzin, w pięknym słońcu. Dobiliśmy wreszcie w pobliże szczytu i odpoczywaliśmy w załomie skalnym. Nagle rozległ się jakiś głuchy łoskot, a potem huk. Usłyszałem jeszcze tylko głośnie komendę mego Mistrza: *Kryj się!* Przywarłem twarzą do ostrej skały i w tej chwili nad naszymi głowami przeleciał ogromny głaz oderwany od ściany. Gdyby nie unik, może obaj pozbylibyśmy się głów. Głaz uderzył w napiętą linę, ale szczęśliwie nie poleciliśmy za głazem w przepaść. Ze zbocza Niżnych Rysów wnet popłynęła do Opatrzności Bożej dziękczynna modlitwa za ocalenie”<sup>2</sup>.

Niezmiernie trudno, choćby w przybliżeniu, przedstawić dokonania górskie gimnazjalisty, kłeryka i księdza Józefa Rozwadowskiego. Gdy zapytałem Ojca, kiedy ostatni raz związał się liną, po dłuższym namyśle powiedział: *Nie pamiętam, ale zaraz szybko dodał: Jak zostałem biskupem, na pewno już się nie wspaniałem.*

Z opowiadań Ojca, a przede wszystkim z notatek robionych przez niego w *Przewodniku wspinaczkowym* autorstwa Chmielowskiego i Świerza można wywnioskować, że większość swoich wspinaczek odbył w latach 1934–1937. A oto niektóre z jego tatrzańskich dokonań.

W lipcu 1935 r. przeszedł północną ścianę wielkiego Mięgoszowieckiego Szczytu (powtórzył to przejście w 1950 r.). W sierpniu tego roku wspinał się głów-

<sup>2</sup> „Pamiętnik Polskiego Towarzystwa tatrzańskiego”, t. 7, Kraków 1998, s. 189, 191.

nie w otoczeniu Hali Gąsienicowej. Następnego 1936 r. w sierpniu wszedł na Ostry Szczyt granią od Białej Ławki i płd.-wsch. ścianą, drogą Haberleina. Pokonał też prawdopodobnie płd. ścianę Małego Lodowego Szczytu. Wszedł płn. ścianą na Łomnicę i wspinał się granią Widel na ich wschodni szczyt. Przeszedł grań Mięgoszowieckich Szczytów. W lipcu 1937 r. wspinał się zach. ścianą na Małą Kończystą, przeszedł płn. ścianę Jaworowego Szczytu, płn. ścianę Pośredniej Grani drogą Bockelmana, grań Gąsienicowej i Niebieskiej Turni oraz płd. ścianę i grań Żabiego Konia. W sierpniu 1941 r. przebywał kilka dni na Hali Gąsienicowej, przeszedł wówczas grań Fajek i Czarnych Ścian. Po wojnie w latach 1945–1957 przyjeżdżał regularnie w Tatry, wspinał się na trasach niezbyt trudnych, ale za to długich i uciążliwych, nagradzających wspinacza ekspozycją i pięknymi widokami.

Później zasłużone urlopy spędzał na Mazurach, pokonywał kajakiem szlaki wodne Wielkich Jezior czy Czarnej Hańczy w gronie wypróbowanych przyjaciół, z którymi wcześniej chodził po Tatrach. Przez jeszcze kilka lat przyjeżdżał na krótkie zimowe urlopy w Tatry, aby pojeździć na nartach. Ciekawie te narciarskie wyjazdy wspomina na łamach „Pamiętnika PTT” p. Konrad Siermontowski, jeden z towarzyszy tych eskapad:

„Zaczęło się od wypadu świątecznego do Doliny Chochołowskiej (1951 r.) w gronie rodzinnym, wraz z dr Stanisławem Kowenickim, długoletnim przyjacielem [...] ks. Rozwadowskiego. Pobyt narciarski u p. Blaszyńskich w ich nowo zbudowanym schronisku powtarzaliśmy parokrotnie. Msza święta odprawiana na werandzie zatrzymywała przechodzących, nielicznych turystów – narciarzy. Wypadki narciarskie stamtąd (Wyżnia Chochołowska, Starorobociańska, Ornak) zawsze upływały pod presją wzajemnie się egzaminujących co do nazw okolicznych szczytów.

Wiele włóczęg po Beskidach i Sudetach odbyliśmy razem we trójkę, później grono znacznie się powiększyło, tworząc tzw. »Klan«. Nasza wyprawa w Bieszczady w 1953 r. była drugą po wcześniejszej dwójce (Krygowski, Moskała). Używanie zezwolenia na tę wędrowkę nie było łatwe, choć walki tam zakończyły się już dość dawno. Napotykałiśmy w drodze pozostałe »rekwizyty« tych walk, które chowaliśmy prymitywnie, a nasi księża czynili im posługę kapłańską. Raz wywołaliśmy alarm na placówce WOP w Ustrzykach, schodząc z gór o zmroku. Alarm zakończył się przyjaźnie, a nazajutrz w naszej mszy świętej uczestniczył sam Komendant Strażnicy wraz z rodziną»<sup>3</sup>.

Ojciec o górach myślał, góry były gdzieś głęboko zakodowane w jego świadomości, ale będąc przez całe życie człowiekiem czynu, później nie mógł zadowolnić się jedynie widokiem Tatr z werandy schroniska przy Morskim Oku. Dlatego przestał też spędzać urlopy na Mazurach, kiedy zabrakło mu już sił, aby pływać wpał bądź kajakiem, a robił to do osiemdziesiątego czwartego roku życia.

Przekonany jestem, że kiedy Ojciec doszedł do sędziwego wieku, jego wielkim marzeniem było móc choćby dotknąć jeszcze raz skały z tamtych lat.

<sup>3</sup> Tamże, s. 185.